

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 9/21 Października 1868 roku.

Nr 42. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

KILKA SŁÓW O CHINACH.

Wiadomo zapewne czytelnikom, że Chiny należą do największych państw nietylko Azjatyckich ale i całego świata; ludność ich bowiem dochodzi do 400 milijonów poddanych. Nie wdając się tu w szczegóły geograficzne, w krótkości podamy tylko niektóre, zasługujące w Chinach na uwagę zwyczaje i obyczaje, nadmieniając, iż wszystkie one razem ze swym rządem są takie, jakiemi były przed tysiącami lat.— Chiny nic nie postępują, bo ich religja i podania niepozwalają na to.

Cesarz chiński jest powszechnym ojcem w którym skupia się wszelka władza i siła. — Urzędnicy w stosunku do niego są niby synami, którym ojciec powierzył zarząd prowincyi; lud zaś jest tłumem wypełniającym wolę jego bez granic, z zupełnem uszanowaniem i zaufaniem.



Wesele Chińskie, do Strony 331-éj.

Wszyscy urzędnicy dzielą się na 9 klass, klassa odróżnia się od drugiej łatwemi do poznania oznakami, zastępującemi mundury i ordery w Europie. Urzędnicy ci nazywają się mandarynami, i ubierają się arcypociesznie, szczególnie spojrzawszy na wygoloną ich głowę i zwieszony na plecy warkocz. Na nosie zaś widać okulary, których wyższemu urzędnikowi dla powagi brakować nie może. Znakomitszy Chińczyk z rąk nie wypuści wachlarza, wyjąwszy kiedy śpi. Wachlarz tém jest dla Chińczyka, czem dla nas chustka od nosa, któréj ten znowu nieużywa zupełnie; nawet oficer w paradzie przed swoją kampanią nie obejdzie się bez wachlarza, a posiadanie onego należy do dobrego tonu.— Do niezbędnych potrzeb należy także fajka, — która musi się palić od rana do wieczora, i tylko odkłada się na stronę podczas jedzenia. Tytoń Chińczyków jest sproszkowany i nasiąkły pachni-

dłami, a najprzyjemniejszym i najgłówniejszym zastępcą tytoniu jest opium, ktore z nadzwyczajnym używają zbytkiem. Znakomitszy Chińczyk dozwala rość swym paznokciom tak długo jak chcą, często około trzech cali, i one z najstaranniejszą utrzymuje troskliwością. Dla miłości paznokci Chińczyk niezna rękawiczek. Mandaryni lubią otaczać się okazałością, orszakiem i narzędziami kary.

Chińczycy żenią się bardzo wcześnie, i zawsze pod wpływem nieograniczonéj powagi rodziców. Cała ta poważna i pełna znaczenia sprawa, toczy się i układa ostatecznie, bez najmniejszego udziału osób najwięcéj w niéj interesowanych. Czy te zaręczyny odbywają się w wieku dziecinnym, czy w późniejszym, rodzice robią umowę, nic nawet nie wspominając dzieciom swoim. Przyszli małżonkowie nie znają się i może się nawet nigdy niewidzieli, a dopiero po zaślubieniu mogą się przekonać, czy między ich usposobieniami zachodzi jaki pociąg wzajemny lub nie. Dziewczyna nie ma nigdy wyposażenia, a owszem narzeczony powinien przynosić podarunki rodzinie przyszłéj swojéj małżonki. Wszystko się naprzód umawia i ustanawia aktem publicznym z najdrobniejszemi szczegółami. Nie są to właściwie podarunki weselne, lecz jest to raczéj cena przedmiotu, sprzedawanego z jednéj, a kupowanego z drugiéj strony co nawet bardzo jasno daje poznać sposób wyrażania się w tym względzie. Mówi się: „kupiłem mojemu synowi córkę... Sprzedaliśmy córkę naszą rodzinie takiéj o takiéj”... Umowa ślubna odbywa się tak samo jak kupno. Są tam pośrednicy, są targi, cena się podnosi i zniża, aż zgoda nienastąpi.

Gdy nadejdzie dzień zaślubin, pan młody wyprawia bardzo rano poselstwo po pannę sobie narzeczoną, albo raczéj sprzedaną; kiedy już posłowie zbliżą się do mieszkania panny młodéj, krewni jéj i przyjaciele stają gęstem kołem przy drzwiach, jakby chcieli przeszkodzić odejściu narzeczonéj, i rozpoczyna się dla formy walka, kończąca się porwaniem panny. Sadzają ją na konia, i objechawszy z nią trzy razy mieszkanie rodziców, odjeżdżają cwałem ku namiotowi przygotowanemu dla niéj, obok mieszkania teścia, a tymczasem krewni i przyjaciele obu rodzin wyruszają na gody weselne, ofiarując swoje podarunki przyszłym małżonkom.

Kiedy już narzeczona została jak się należy ubraną, prowadzą ją do teścia, a podczas gdy kapłani zgromadzeni odmawiają chórem modlitwy rytuałem przepisane, bije ona pokłon przed wizerunkiem Buddy, następnie przed ogniskiem, a nakoniec przed ojcem, matką i bliższymi krewnemi narzeczonego, który tę samą ceremonją odbywa względem rodziny żony zebranéj w sąsiednim namiocie. Potem następują już gody weselne, trwające niekiedy siedm do ośmiu dni. Nadzwyczajna obfitość tłustego mięsiwa, tytoniu. ogromne dzbany napitków, stanowią cały splendor i wspaniałość téj uczty. Niekiedy i muzyka towarzyszy, a w tym celu zapraszają gęślarzy, aby nadać więcéj uroczystości godom.

(*D. c. n.*)

PĄTNIK i TURYSTA.

(DWA OBRAZKI.)

1.

Śród wydm bezpłodnych, samotną drogą,
Idzie człek odzian szatą ubogą;

Z rąk mu obwitych różańców wiązką,
Sterczą kantyczki z palmy gałązką;

W torbie podróżnéj sól a chleb suchy,
I na cześć Pana wosku okruchy!

Tak opatrzony—manowcem krętym
Zmierza on śpiesznie ku miejscom świętym.

Gospodą starca— poddasze krzyża,
Siostrą wędrowną—jaskułka chyża;

Kresem pielgrzymki—girlanda ludu
Około w tłumie przybytek cudu!

Zarobkiem drogi—skroń namaszczona
I pierś płomieniem nowym zatlona!

2.

Śród łąk i jarów—lokomotywą
Pędzi syn szału z rzeszą gwarliwą.

W dłoni mu duńskim zamszem opiętéj,
Tkwi z pachitosem, wierzch laski rzniętéj.

Z torby lamparciej rzeźko wyziera—
Bunt gidów, pasztet, rum i madera!
Tak opatrzony—z drzémką na oku,
Mknie pan na Zachód w pary obłoku.

Celem pielgrzymstwa—przysionki raju:
Paryż z Londynem, step Paragwaju!

Za sielskie łączki—sofy klubowe,
Za pieśń ich—szepty zakulisowe;

Za łowy wiejskie—u kresu zwady
W lasku bulońskim bójka na szpady:

To cel;—zarobek podróży taki:
W walizie—ciżmy, krawaty, fraki;

W głowie—tandeta z czarnych i płowych
W chaos zmięszanych szmatów mózgowych;

W sercu—step, kędy mkną z piasku wirem,
Gidy, banknoty, szampan z rapiérem!

Edward Chłopicki.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(*Ciąg dalszy,*—patrz N. 41-szy).

Tak ubiegło jeszcze pół roku, aż nareszcie państwo Czorsztyńscy powrócili z wojażu. Sądny dzień się zrobił w Hreczynie! pan Czorsztyński znalazłszy straszny zamęt w majątku, kiedy z wielką goryczą upominał za to officjalistów, ci w głos jeden krzyknęli, że pan Michał winien wszystkiemu, i jak jęli każdy z osobna wyprowadzać na jaw jego excessa, tak w końcu i Kublicki wyszedł na scenę, którego śmierć przedwczesną wszyscy jednomyślnie przypisywali gwałtowności pana Michała, bo ostatnie zajście haniebne, było dobrze im znane. Naturalnie, że się szwagrowie poróżnili przez to na zawsze, ale pani Czorsztyńska, która z wielkiej zgryzoty aż się rozchorowała, chcąc jakkolwiek brata obronić, potwarz tylko widziała w tym okropnym zarzucie,

utrzymując, że Aniela sama na to by się jej skarżyła, gdyby Michał na prawdę Kublickiego wpędził do grobu. Zaraz więc po Anielę posłano, żeby od niej posłyszeć potwierdzenie, lub zaprzeczenie wieści, ale posyłano daremnie. Biedna wdowa nie czuła siły, żeby stanąć w obec Michała, nikczemnika, z łaski którego ucierpiała tak wiele, zabójcy jej Ignasia i całego jéj szczęścia. Wiedząc tylko o co rzecz idzie, (bo po całym już dworze głośno o tem gadano, i furman zdał jej ze wszystkiego sprawę dokładną), prosiła, aby Doktór za nią odpisał, że nic nie wie o zajściu swego męża z panem Michałem, a sama się stawić nie może, bo jest bardzo cierpiąca. Wielka to z jej strony była ofiara dla miłości Czorsztyńskiej, której trapić nie chciała, a zarazem też i ciężki obowiązek sumienia nakazany przez spowiednika; bo jeżeliby tylko swego żalu słuchała, jeśliby się radziła tylko nienawiści tej strasznej, jaką słusznie jej serce do Michała było przejęte, to pewnoby nie zaniechała bodaj w liście, jeśli nie ustnie, wypowiedzieć swej opiekunce całej swej krzywdy straszliwej, jakiej od jej brata doznała. Doktór wszakże nie chciał jej słuchać i usilnie na nią nastawał, aby nie taiła tam prawdy, gdzie tej od niej żądają dla tak ważnych pobudek, owszem energicznie dowodził, że powinna wyznać wszystko jak na spowiedzi, gdyż inaczej nie tylko uzuchwali zbrodniarza, lecz biednym officjalistom wielką krzywdę wyrządzi, dając powód do posądzenia ich o podłe oszczerstwo. Długo się opierała nieboga, ale wreszcie uległa, zgodziła się na to, że dóktor sam jej bruljon napisał, krótko ale dobitnie przedstawiając rzecz całą, a odmowę swoją tłumacząc już nie żadną chorobą, tylko tem, że spotkanie z panem Michałem dla niej równa się śmierci.

Michał więc jak niepyszny musiał z placu ustąpić, przeklinając i szwagra i swą siostrę i wszystkich oskarżycieli i niebogę Kublickę, a nawet nieboszczyka jej męża i najsroższą zemstą im grożąc, w której na pierwszym planie stała biedna Aniela, co niewątpliwie doznałaby odeń krwawej zniewagi, gdyby sam Pan Bóg nie ochronił nieszczęsnej wdowy. Powrót państwa Czorsztyńskich przypadł w same kontrakta, na które się pan Michał, jak rok rocznie, wybierał, zatrzymany niespodzianie, bojąc się, żeby niepostradać uciechy i zarobków kartowych, skoro tylko mógł się już wyrwać, na czas dalszy zemstę odłożył, a puścił się prędzej do Dubna, wiożąc z sobą szkatułę dobrze naładowaną, tem co mimo wszelkich zastrzeżeń, umiał zarwać z bratniej fortuny, w której miał się za współdziedzica. Bardzo pilno mu było, miał o czem bank założyć potężny i pewnym był świetnych tryumfów, lecz niestety! zanim przybył na plac bohaterskich wyścigów, na noclegu wśród drogi został *zdebankowanym!* Gracz *jakiś*, gracz nielada, razem ze szkatułą wziął mu i życie! Najpodobniej że własne sługi, ów faworyt lokaj i furman, towarzysze jego tułactwa, bo przepadli obaj bez wieści, a prócz pana Michała, którego znaleziono z gardłem podciętem, żadnej zresztą ofiary więcéj w karczmie nie było.

Pani Czorsztyńska nader żywo wzięła do serca krzywdę i nieszczęście swej dawnej sługi i najmocniej postanowiła czynem tego jej dowieść. Jakoż skoro tylko Michał wyjechał, znowu posłała po nią, prosząc aby koniecznie do Hreczyna zaraz przybyła. Kublicka już tą razą była posłuszna i zabrawszy z sobą dziewczęta, natychmiast pośpieszyła do swojej pani, rada że ją wreszcie może oglądać i z wdzięcznością do nóg jej upaść. Powitana z wielkiem współczuciem, z macierzyńską prawie dobrotliwością, musiała opowiedzieć zacnej matronie całą katastrofę okropną ze wszystkiemi szczegółami, a choć starała się utaić rzeczywisty powód złości Michała, instynktowo powstrzymywana jakiemś wstydem poczciwym, i w tem wreszcie nie mogła się oprzeć naleganiom swej pani, która z dziwną przenikliwością z jej wzruszenia, z omówień, wybiegów niezręcznych, umiała się domyśleć tajemnicy owej bolesnej i zmusiła ją do wyznania zupełnej prawdy.

Możeby jaka inna magnatka, dla której *awantur-ki miłośne* do zbrodni się nie liczą, a cześć jakiejś służącej, jakiejś tam ekonomowej, do rzeczy nader błahych należy, uśmiechnęła się tylko z politowaniem nad starym zalotnikiem nieszczęsnym, możeby się nawet zgorszyła przesadzoną skromnością i zbyt surową cnotą biednej officjalistki; ale pani Czorsztyńska, sama bez najmniejszej poszlaki, pełna świętego sromu i godności niewieściej, miała całkiem inną opinję: dla niej cnota kobiety była świętą i nietykalną tak w drylichu, jak i w atłasie, i każdy co się na nią śmiał targnąć, nikczemnym się nazywał. To też oburzeniem i zgrozą przejęta, na myśl, do jak okropnej zbrodni niecna żądza pchnęła jej brata, ze łzami wyrzucała to samej sobie, że go umieściła w Hreczynie, a w wyrazach najczulszych prosiła o przebaczenie swej Anielci, że się stała, choć mimowoli, sprawczynią jej nieszczęścia.

— O gdyby można wskrzeszać umarłych, — mówiła z przejęciem się głębokiem, — czegóżbym nie uczyniła, żeby twego męża ci wrócić!?... lecz gdy na to nie ma już rady, to niechajże przynajmniej tobie los twój wdowi osłodzę. Możesz u nas zamieszkać, jeśli nie chcesz na zawsze, to przynajmniej dopóty, póki ci się nie trafi co zalepsze będziesz uważać. Będziesz miała to wszystko, co za życia mąż twój pobierał, a nadto i o dziatkach twoich pomyślę. Przyprowadźno je tutaj; niech się z niémi zapoznam.

Kublicka, ucałowawszy ręce swojej pani kochanéj, wkrótce stawiła przed nią miłe swoje dziewczątka, w garderobie pozostawione. Czorsztyńska przyjęła je serdecznie, z przyjemnością prawdziwą głaskała ich hoże twarzyczki, przemawiała do nich przyjemnie i bardzo się cieszyła ich przystojnym układem, roztropnością i wdziękiem. I ją wszakże Jagusia bardziej niźli inne zajęła, i najwięcej była pieszczoną, najdłużej wypytywaną.

W tem nadeszła pani Jadwiga, córka pani Czorsztyńskiej, młoda, bardzo majętna wdowa, która, dzień przed tem do Hreczyna przybyła, by powitać swoich rodziców, dawno już niewidzianych. Kublicka była niegdyś jej faworytą, jako panna służąca; nie dziw więc że ujrzana po wielu latach, doznała nader uprzejmego przyjęcia, tem bardziej, że i pani Jadwidze już nie było tajnem nieszczęście, jakie na nią spadło w Jemiołce, to jest zgon przedwczesny jej męża. I ona też z wielkiem współczuciem spytała biedną Anielę, i ona z upodobaniem rozmawiała z jej dziećmi, matce swej po francuzku robiąc uwagi, bardzo dla nich pochlebne, a zwłaszcza się zdumiewając nad pięknością i sprytem *dziecka szczęścia* Jagusi. W końcu się dowiedziawszy o planach, jakie pani Czorsztyńska miała względem Kublickiej, rzekła z wielkim pośpiechem:

— Niechże i ja co ze swojej strony coś uczynię

dla ciebie Anielciu! Ot naprzykład, daj mi na wychowanie którą swoję córeczkę. Dwie ci na pociechę zostaną, a jedną ja się zajmę po macierzyńsku.

Kublicka się zarumieniła i w milczeniu smętnie spuściła oczy; Frania i Olesia pobladły i z trwogą w lica matki patrzyły; a Jagusia krasna jak wiśnia, oczętami iskrząc radośnie, jakby czując instynktem, że ją spotka to szczęście, drżała prawie z niecierpliwości, oczekując postanowienia, i z uśmieszkiem na wdzięcznych ustach śmiało i rezulutnie spoglądała na wielką panią.

Jadwiga widząc kłopot Kublickiej i mylnie go sobie tłumacząc, podchwyciła skwapliwie:

— Nie myśl tylko Anielciu, że mi do garderoby twego dziecka potrzeba; bynajmniej! wychowam ją jak własne, razem z moją Irenką, której towarzyszka bardzo się przyda, tak w zabawach, jak i w naukach, bo w jednych ją ożywi, w drugich emulację obudzi. Cóż ty na to?

— Z duszy dziękuję! — odrzekła rozczulona Kublicka, — ale...

— Żadnego ale! — znów przerwała pani Jadwiga. Gotowaś mi powiedzieć: co tam po wychowaniu córce biednej officjalistki, kiedy przeznaczeniem jéj tylko, liczyć motki i sadzić kury! Bądźże o to spokojna; bo kiedy ją wychowam, to i o przyszłości pomyślę; pewno że narzekać na mnie nie będzie.

— No, nie bądźże upartą! gadaj prędko którą oddajesz?

Kublicka z jakimś rzewnym uśmiechem, ze łzą w oku, spojrzała po kochanych swoich dziewczątkach i nie mogła nie tylko odpowiedzieć na zapytanie, lecz nawet ani myśli swych zebrać.

— Nudna jesteś Anielciu! — zawołała żywo pani Jadwiga — tak się trudno z tobą dogadać! Czekajże, wezmę się ja do dziewcząt. No dzieciaki! gadajcie: która z was ma największą ochotę zostać towarzyszką mojej Irenki? Ty na przykład.... jak ci na imie?

— Jagusia! — w lot odrzekła spytana.

— Czy chcesz do mnie na wychowanie?

— O! i bardzo, najmilsza pani! — zawołała dzieweczka z uniesieniem radosnem, patrząc w twarz jéj, jak w tęczę.

— Brawo! — wykrzyknęła pani Jadwiga, z uciechą w białe ręce klasnąwszy, — pójdźże niech cię uściskę, moja ty ochotniczko.

Jagusia poskoczyła do niej skwapliwie, ona ją pogłaskała po twarzy i przez chwilę z żywem zajęciem i z widocznem upodobaniem zatrzymała spojrzenie na jej liczku uroczem.

— Dobrze, lubię cię za to! — ozwała się nareście. No, i cóż ty na to, Anielciu? wszak się zgadzasz? musisz koniecznie.

— Niech Bóg pani zapłaci za litość nad tą biedną sierotką! — odrzekła z rozrzewnieniem Kublicka; sprzeciwiać się nie mogę, bo to — bo byłabym bardzo niewdzięczna; ale....

— Jeszcze ale! cóż znowu? — zawołała pani Jadwiga.

— Niech mi pani pozwoli trochę nad tem pomyśleć. Prosiła ją Aniela.

— Dziwię się, że się wahasz, moja Kublisiu! — ozwała się pani Czorsztyńska. Chyba że jesteś tak ślepo przywiązana do swego dziecka, żeś gotowa los mu zagrodzić, nie chcesz z niem się rozłączyć. Wierz mi, że w taki sposób źle dowiodłabyś mu swojej miłości, i kiedyś płakałaby na ciebie.

— Nie, najdroższa pani i dobrodziejko moja! — odrzekła Kublicka. Byłoby to szaleństwem, gdybym odrzuciła tę łaskę, której całą wartość rozumiem; tylko że, choć Jagusia sama się prosi, jednak.... nie wiem doprawdy...

Ucięła, bo spojrzała na dziewczę, które stało blade, zmięszane, z łzami kręcącemi się w oczach, wielką trwogą i żalem w wyrazistej twarzyczce; a ona... ona tylko co nie wyznała że to dziecko przybrane!.. Sama niewiedziała co począć? co powiedzieć dobrym swym paniom? więc im tylko ręce ucałowała, i jeszcze raz prosiła o chwileczkę namysłu.

— Nie wiem, o co ci idzie? — rzekła na to pani Jadwiga, nie zupełnie kontenta, ale nic w tem pilnego; namyśl się, jeśli tego potrzeba.

Kublicka więc zabrała drogie swoje dzieciaki, i odeszła do swej izdebki, żeby na osobności należycie wszystko rozważyć, bo na prawdę była to dla niej okoliczność niezmiernie ważna. W pierwszej chwili gdy usłyszała propozycję pani Jadwigi, myśl o rozłące z córką przejęła ją trwogą i smutkiem; potem znów obietnica wychowania razem z Irenką i opieka na przyszłość wydała się bardzo ponętną, ale jeszcze góry nie wzięła nad uczuciem poprzedniem; nareszcie, kiedy bez jej decyzji na Jagusię raptem padł wybór, dziwny zamęt w duszy jej powstał, z którego nie umiała zdać sobie sprawy i dla tego tak się jąkała, dla tego o czas do namysłu prosiła.

Biedna kobiecina, wyznajmy prawdę, nie miała tak bystrego umysłu i tak wytrawnego rozsądku, żeby mogła od razu pomiarkować dokładnie, że to szczęście mniemane, którem pani Jadwiga jej córeczkę chciała obdarzyć, w gruncie rzeczy szczęściem nie było; skoro kiedy spostrzegła, że Jagusia ma je osięgnąć, w razie niby żal ją przemknął i już miała się przyznać, iż to córka przybrana, kiedy przypomniała sobie życzenia męża i swe własne śluby względem sierotki... Teraz więc rozmyślała nad tem głęboko, jak należy postąpić? Jeśli powie, jak rzeczy stoją, to nieochybnie pani Jadwiga na Olesię lub Franię łaskę swoję przeleje. Ale czyż to się godzi? czyż tak spełni wolę mężowską względem biednej Jagusi i czyliż jej dowiedzie serca macierzyńskiego? Czyż wydarłszy jej szczęście, którego tak pożąda, do którego tak się uśmiecha, które samo w ręce jej wpada, nie przepełni jej duszy gorzkiem zażaleniem na całe życie? Czyliż dla niej wówczas dom niedobrej stryjenki nie stanie się istnem więzieniem, a jej macierzyńska opieka nienawistną przemocą?... A zresztą czyliż nawet i dla jej dzieci nie wypadnie tak gorzej? Bo najprzód, jeszcze nie rozumieją prawdziwego znaczenia łaski, jaką im ofiaruje pani Jadwiga, zbladły na samą wzmiankę o rozłączeniu się z matką,—a potem gdyby nawet i rozumiały, to cóż z tego? obiedwie razem nie dostaną tej złotej doli; a gdy jedna tylko ją weźmie, to w drugiej kiedyś niezawodnie zawiść obudzi; sama zaś wychowana po pańsku, postawiona w innych warunkach bytu, może czasem wstydzić się będzie swej rodziny prostaczej, i zaprze się siostry i matki! Niech więc lepiej Jagusia bierze w udział to dobrodziejstwo, które choćby jej nawet i zawróciło główkę, choćby uczyniło ją obcą dla krewnych i dla stryjenki, zawszeż to nie dla matki i nie dla siostr rodzonych.

Tak się zdecydowawszy, czuła w tem tylko skrupuł, że niejako podstępnie cudze dziecko chce dać

za swoje; ale się uniewinniała przed swojem własném sumieniem faktem niezaprzeczonym, że Jagusię oddawna za rodzoną córkę uważa i jak rodzoną kocha; że Bóg widzi, iż nigdy ani w sercu, ani w postępkach, między nią a Olesią i Franią nie robiła żadnej różnicy; że owszem, zwłaszcza gdy matka jej zmarła kilkanaście temu miesięcy, we wszystkiem dawała jej pierwszeństwo, zawsze większą pieczołowitość, większą miłość okazywała. Nie będzie więc grzechu w tem wcale, gdy ją uda za własną córkę; zresztą gdyby i był, Bóg go odpuści przez wzgląd na poczciwe intencje, przez wzgląd na tę ofiarę, jaką robi z własnego dziecka, żeby uszczęśliwić przybrane, żeby zapewniwszy świetny los jego, postawić je razem w możności wspomożenia reszty rodzeństwa, które pozostało w smutnem sieroctwie bez ojca i bez matki, rozproszone po świecie, na łasce obcych ludzi lub krewnych, co i sami w najcięższej biedzie.

Wziąwszy więc ostateczne postanowienie, z niem do pani Jadwigi udała się niezwłocznie. Córka pani Czorsztyńskiej przyjęła ją łaskawie, ale jakby z pewnym przymusem, i kiedy jej nieboga kornie schyliwszy się do kolan, oświadczyła że przyszła podziękować za dobrodziejstwo, które dla Jagusi przyjmuje z sercem niewymownej pełnem wdzięczności; ta odrzekła łagodnie ale dość obojętnie:

— Bez potrzeby moja Anielciu, gwałt twojemu sercu zadajesz. Nie róbże proszę ciebie, tak bolesnej dla mnie ofiary; nie myśl, że jej wymagam. Chciałam tylko tobie dopomódz; sądziłam że ci sprawię pociechę, biorąc twoją córkę na wychowanie razem z własnem dziecięciem; alem się omyliła, dla tego zmieniłam zamiar. Jagusia może nadal z tobą pozostać, a ja wezmę na siebie koszta jej edukacji.

Kublicka oniemiała z żałości, twarz jej zbladła śmiertelnie; łzy się potoczyły strumieniem.

— I czegóż płaczesz? — zawołała pani Jadwiga, toż ci być powinno po myśli.

— Pani moja! moja najmilsza! — zapłakała rzewnie Aniela, Bóg widzi, żem nie chciała ciebie obrazić! Na szczęście moich dzieci, na zbawienie mej duszy zaklinam się, żem nie myślała twojej łaski odrzucać, nie myślałam się drożyć z oddaniem ci dziecięcia, któremu takie dobrodziejstwo pragniesz wyświadczyć!

— Jakże nie? — zagadnęła pani zdziwiona, wszakżeś wahała się, jąkała, potrzeba ci było namysłu; musiałaś sama z sobą ciężki bój stoczyć, w przypuszczeniu poczciwem, że przez to mej fantazji dogodzisz.

— Nie, najdrosza pani! nie, jak Bóg w Niebie! — wykrzyknęła Kublicka, załamawszy ręce z boleścią.

— A więc i cóż to było? co znaczyło twoje zakłopotanie? jak mi wytłomaczysz się z tego?

Kublicka, tak natarczywie przynaglona do eksplikacji, zaiste znalazła się w trudnej pozycji. Przez chwilę stała, spuściwszy oczy i łzy połykając w milczeniu; aż na reszcie jak gdyby z Nieba nagle jej skuteczna rada spłynęła, zawołała, złożywszy dłonie i w twarz pani Jadwigi patrząc błagalnemi oczyma:

— Przebacz tylko pani najmilsza! nie cofaj dobrodziejstwa swojego, a wyznam już wszystko najszczerzej.

— No, no, uspokój się moja Anielciu! — odpowiedziała pani, rozczulona tą jej boleścią, niech wiem tylko o co ci idzie, a zrobię tak jak lepiej ci będzie; bo przecież mam tu ciebie głównie na celu, i skoro mi naprawdę córkę swoją chcesz oddać, to ją wezmę najchętniej.

— Ach pani! — wyjąkała Kublicka, kiedyż... kiedyż Jagusia, to nie moja córka!... nie moja!...

— Nie twoja? potwierdziła pani z wielkiem zadziwieniem. — Cóż to jest? co za tajemnica szczególna?

— Nie moja! — powtórzyła Kublicka. To jest moja, moja, Bóg widzi; bom ją wzieła za swoją i jak swoją kocham najczulej, tylko że nie rodzona, a sierota po bracie nieboszczyka mojego męża.

— Tyle tylko? — rzekła z uśmiechem dobrotliwym pani Jadwiga. O cóż tedy ci idzie? nie myśl, żeby mi się koniecznie tej dziewczynki tak chciało; muszę znów ci przypomnąć, że twojego dobra w tem pragnę, i jeżeli chcesz tego, no, to wezmę własne twe dziecko.

Tego właśnie się bała kobiecina poczciwa, jakeśmy już wyżej widzieli, i teraz przerażona ziszczeniem przypuszczenia swojego, rzuciła się do nóg pani Jadwigi, i rękę jej całując, zawołała rzewliwie:

— Pani! pani jedyna! nie cofaj przyrzeczenia swojego! u nóg twoich błagam cię pani, weź Jagusię na wychowanie!

— Dziwna jesteś Anielo! — rzekła z rozdrażnieniem pani Jadwiga, że się też porozumieć z tobą nie mogę! Tyle razy ci powtórzyłam, że chcę *twemu* dziecku szczęście zapewnić, jeśli nie w ten, to w inny sposób, a ty mi gwałtem każesz cudze przyjmować! Do czegóż to prowadzi? co ci przyszło do głowy?

Kublicka z przerażeniem spostrzegła, że ją posądziła pani Jadwiga o zamiar wykupienia swego dziecięcia przez podstawę cudzego, przejęta do głębi serca sprawą ukochanej swej wychowanki, z wymową, jaką tylko miłość dać może, powiedziała całą historję przybrania tej sierotki, i powody dla których z nią się dobrodziejce swojej narzuca. Poprzysięgam na wszystko, — zakończyła swoją opowieść, że Jagusia równie mi droga, jak i moje własne dziewczęta; a że dla niej o łaskę proszę, to prócz innych pobudek, i to jeszcze mam w myśli, że ona jak gdyby się zrodziła do świetniejszego losu, bo i piękniejsza i sprytniejsza od moich, a tak bardzo pragnie większego świata, i pani ją sama trafem wybrała!... to jest, źle mówię: *trafem*, bo pewnie to z natchnienia Bożego.

Więc nareszcie pani Jadwiga, kilka jeszcze uwag zrobiwszy, uwierzyła Kublickiej, przekonać się dała zupełnie i uległa szczerym jej prożbom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

CZAROWNICE I CZARY.

(*Ciąg dalszy*, patrz Nr. 41-szy).

Przy dzisiejszym stanie nauki, wątpliwości nie podlega, że ani czarownice przenosić się powietrzem nie mogły, ani szatan nie ukazywał się im w jakiejbądź postaci, ani wreszcie zgromadzenia sabbatowe miejsca mieć nie mogły i nie miały. To wszakże zadziwia nie pomału, że wszystkie czarownice najmocniej były przekonane, że jeździły na ożogu, że widziały swe sąsiadki na Łysej Górze, że pląsały

z szatanem i t. p. Długo nie umiano sobie wytłómaczyć téj tajemnicy. Dopiero przed kilkudziesięciu laty zwrócono uwagę na jakąś maść, którą czarownice smarowały się, udając się na spoczynek, w dnie przeznaczone do podróży na sabbat. Po dokładnym rozbiorze chemicznym téj maści, po zbadaniu jéj własności, okazało się, że maść owa posiada w najwyższym stopniu własność rozbudzania najfantastyczniejszych snów, a mianowicie, reprodukowania tego we śnie, o czem się marzyło na jawie, że zaś czarownice kładły się na spoczynek z mocnem przekonaniem, iż w nocy udadzą się na zwykłe miejsce szatańskich schadzek, o których tyle dziwów dzieckiem jeszcze będąc słyszały, ztąd też nic dziwnego, że widziały to we śnie, o czem marzyły na jawie. Za przebudzeniem się sen brały za rzeczywistość, urojenie za prawdę, oprócz maści używano też rozmaitych napojów i specyfików też samą własność mających.

Sławny filozof Gassendi był świadkiem następnego wypadku, który daje wyobrażenie o potężnym wpływie, jaki wywiera na mózg maść czarodziejska.

Gassendi przechadzając się raz w pobliżu wioski, której dał się poznać przez swe dobrodziejstwa, ujrzał kilku włościan, którzy prowadzili owczarza mocno skrępowanego, popychając go bez litości.

— Cóż zrobił ten człowiek, zapytał filozof, że go w ten sposób traktujecie?

— Panie, odparł jeden z włościan, jest to znany w całéj okolicy czarownik, który nie tylko na zwierzęta, ale i na ludzi rzuca uroki; schwytaliśmy go na gorącym uczynku, i prowadzimy by wydać w ręce sprawiedliwości.

Słysząc takie obwinienie, zgrozą został przejęty Gassendi; pragnąc jednak przekonać się osobiście do jakiego stopnia potęga tych oszustów dojść może, rozkazał włościanom zaprowadzić tego człowieka do siebie, co też bez wahania się zrobili.

Gdy Gassendi ujrzał się sam na sam z czarownikiem, rzekł do niego: „Mój przyjacielu, musisz mi wyznać otwarcie, czyś zawierał jaką umowę z szatanem; jeżeli przyznasz się do winy, wypuszczę cię na wolność, ale jeżeli zachowasz milczenie, oddam cię natychmiast w ręce sprawiedliwości.

— Panie, odrzekł owczarz, mam w panu wielkie zaufanie i dla tego wyznaję, że dwa razy na tydzień chodzę na sabbat. W trzecim już roku życia zostałem czarownikiem; jeden z moich przyjaciół dał mi balsam, który dość połknąć by przelecieć powietrzem i znaleść się na nocnéj biesiadzie.

Gassendi tedy wypytał szczegółowo o sposobie przyjęcia na Łyséj Górze mniemanego czarownika. Ten mu opisał najdokładniéj mieszkańców piekła, jakby całe życie z niémi spędził, wymieniał ich po nazwisku i opowiadał szczegółowo, do jakiego rodzaju zajęć książę piekieł ich przeznaczył.

— Musisz mi dać owego balsamu, który połykasz udając się na sabbat, rzekł Gassendi; chciałbym ci towarzyszyć tego wieczora.

— Jak wola pańska, odparł owczarz; o północy zaprowadzę tam pana.

Gdy naznaczona godzina nadeszła, czarownik wyciągnął z kieszeni małe pudełko, w którem znajdował się proszek, podobny do opjum, sam wziął szczyptę wielkości orzecha laskowego i takąż dał Gassendiemu, mówiąc:

— Połknij pan ten wyborny balsam, a potém połóż się pod kominem, zaraz zjawi się szatan pod postacią kozła lub kota, na którego gdy pan siądziesz, przeniesie pana powietrzem na sabbat.

Gassendi udał, że połyka balsam i rzekł do czarownika:

— Dobrze, otom gotów iść z tobą.

— Połóżmy się oba na ziemi, przy kominie, rzekł czarownik, bo droga nasza przez komin.

W kilka minut po połknięciu swego balsamu, czarownik zdawał się odurzony, a Gassendi, który go pilnie badał, ujrzał, że twarz ma czerwoną, powieki nabrzmiałe, na skroniach pulsa mocno biły, a krew gwałtownie uderzała do głowy. Wreszcie sen stał się niespokojny, oddech gwiżdżący; członki poruszały się jakby chciał lecieć w powietrzu siedząc konno, na miotle i t. p., usta szeptały ciągle niezrozumiałe wyrazy.

O szóstéj godzinie rano, owczarz przebudziwszy się rzekł do Gassendiego.

— I cóż, musisz pan być kontent ze sposobu przyjęcia przez kozła? Zaiste wielki to honor być od pierwszego razu puszczonym do pocałowania go w pośladek. I tu począł opowiadać wszystkie wstrętne i śmieszne sceny zgromadzeń sabbatowych.

Gassendi, tknięty stanem tego nieszczęśliwego, starał się go wyprowadzić z błędu, zadając w obec niego balsam psu, który skoro go połknął, zasnął natychmiast. Owczarza wypuszczno na wolność, niewiadomo jednak, czyli się uleczył ze swego obłędu.

Historje czarownic śmiech by w nas tylko i politowanie obudzały, gdyby się tyle krwawych wspomnień do nich nie mięszało. Trudno wyobrazić sobie jakie nadużycia, powiedzmy raczéj zbrodnie popełniali ówczesne sądy, które szukały chluby w wynajdywaniu winnych i przesadzały się nawzajem w męczeniu nieszczęsnych ofiar. U nas w pierwszych chwilach nastania tych sądów, t. j. w wieku XVI-ym, było jeszcze daleko lepiéj niż w innych ościennych krajach; późniéj wszakże, gdy prawo sądzenia czarownic przeszło i na sędziów małomiasteczkowych, który, jak zapewnia współczesny autor „nie umieli ani czytać, ani pisać", nadużycia naturalnie przybrały zastraszające rozmiary. „Brali na tortury oskarżonych, powiada tenże autor, i to tak było upowszechnionem, że choćby winny przyznał się do występku i był skazany na śmierć, zawsze wprzódy na tortury był brany, dla wydania wspólników; palono czarownice i czarowników, ludzi razem z bydlętami, ćwiczono publicznie pod pręgierzem matki bezżenne; ztąd poszło, że wiele dzieci tracono..."

W ościennych jednak krajach gorzéj jeszcze było. Znakomity francuzki historyk Michelet, przytacza między innemi dwa następujące fakta:

Raz wniesiono przed pewnego niemieckiego inkwizytora [1]) skargę od trzech dam sztrasburskich, które jednocześnie uczuły się uderzone niewidzialną ręką. Niewiadomo jakim sposobem podejrzenie padło na pewnego człowieka, z którego oczu cóś niedobrego patrzało. Wezwany przed inkwi-

[1]) Inkwizytor, najwyższy sędzia duchowny do sądzenia spraw osób oskarżonych o czarodziejstwo lub kacerswo.

zytora, biedak protestuje, przysięga na wszystkie świętości, że wcale nie zna tych dam, że nigdy w życiu ich nie widział. Ale sędzia ani słuchać nie chce żadnych tłumaczeń. Łzy i prośby biedaka nic nie pomagają. Przez współczucie dla znieważonych w tak dziwny sposób dam, inkwizytor stał się nieubłaganym jak skała. Już wstawał, a nieszczęśliwy miał być wzięty na tortury, gdzie zapewnie przyznałby się do wszystkiego co mu zarzucono, jak tylu innych nieszczęśliwych. Wtem prosi o głos i mówi: ,,Przypominam teraz sobie, że wczoraj rzeczywiście o téj i téj godzinie biłem kogoś, wszakże nie były to istoty chrzczone, ale trzy kotki, które okropnie pokąsały mi nogę." Sędzia, jako człowiek przenikliwy, zrozumiał od razu całą sprawę i uniewinnił biedaka na téj zasadzie, że widocznie owe damy były zamienione tego dnia w kotki, a zły duch rzucał je pod nogi Chrześcjan, by ich zgubić i ogłosić za czarowników.

(Dokończenie nastąpi.)

CZUMAKI.

Nazwa Czumaków pochodzi od wyrazu tatarskiégo *Czukmak*, oznaczającego przewoźnika, koczownika, nomadę. Koczowniczem też jest życie Czumaków. Zimę tylko spędziwszy w domu, zaraz z początkiem wiosny zbierają się w karawany z kilkudziesięciu zwykle wozów złożone i puszczają w drogę, wioząc z sobą niektóre produkta kraju bogatego z natury, ale pozbawionego dostatecznych środków komunikacyjnych, ażeby przywieść nazad sól z Krymu i Bessarabji, albo rybę suszoną z nad Donu i Dnieprowych limanów. Czumacy są więc na lądzie tem, czem flisy na wodzie. Znaczną część życia przepędzając w długich podróżach, jedni na tratwach i galarach przypominających pierwsze początki dziejów żeglugi wodnej, drudzy prowadząc długie łańcuchy zaprzężonych ogromnemi wołami wozów, których konstrukcja i zaprząg przez wieki wszelkim ulepszeniom i innowacjom postępu się opiera, starej rutynie i tradycji dochowując wiary.

Przyglądając się na mappie szlakowi, którym wloką się Czumacze parowice, widzimy że te ich ogromne podróże w jeden dzień koleją żelazną odbyćby można. Wozy Czumaków robią dwie a najwyżej trzy mile dziennie i tym sposobem często po 5 do 6 tygodni pozostają w podróży. Tak długie zostawanie w drodze nie może się obejść bez różnych przygód i wrażeń, a że jest pełne niewygód i przykrości, o tem mówić nawet nie trzeba. To też zawód Czumaka ma nader wiele ponęty u prostego ludu w południowéj Rossji. Wyobraźnia jego pozbawiona wszelkiej obfitszej karmi umysłowéj, instyktownie spragniona wiedzy, rwie się w świat żeby go zobaczyć, nie widzi bowiem innego środka zaspokojenia swoich pragnień duchowych, urozmaicenia i uszlachenienia życia. Ideałem tych pragnień jest życie kozacze, takiem jakiem ono było dawniej, w czasach opiewanych przez pieśni. Po Kozaku idzie zaraz w poszanowaniu Czumak, któremu także jak tamtemu, lubo nie z taką chwałą i zasługą, danem jest widzieć więcej jak zwyczajnym ludziom chat poleskich, podolskich, wołyńskich i ukraińskich. O Czumakach lud także śpiewa pieśń, opiewa ich przygody na stepach, gdzie niekiedy i śmierci przyjdzie spojrzeć w oczy i pożegnać się na wieki z zostawioną w domu rodziną, dziećmi lub kochanką. Do takiego zawodu zdolni są tylko ludzie silnéj budowy, wytrwali na niewygody, śmiali, odważni. Zarobek ich jest dosyć znaczny, to też dość prędko przychodząc do stosunkowo znacznego grosza, Czumacy niezawsze go szanują, lubią hulanki i wesołe zabawy, choć są między niemi i tacy, co ze swego zawodu znaczne gromadzą kapitały.

Wybierając się w podróż, Czumaki wybierają sobie naczelnika i przewodnika zwanego atamanem, który rządzi niémi w podróży, sądzi zatargi jakie wynikają pomiędzy niémi, zbiera zarobek, wydatkuje na wspólne potrzeby, a wreszcie rozlicza i dzieli zysk jaki na każdego przypada. Władza takiego atamana jest bardzo wielką, a posłuszeństwo dla niego nieograniczone. Ponieważ wybór pada zawsze na człowieka znanego wszystkim z prawości i doświadczenia, i ponieważ godność jaką piastuje jest niemałym bodźcem do sumiennego wywiązania się z zaszczytnej missji, nie bywa więc przykładów, żeby podobny ataman nadużył tej władzy na szkodę ogółu.

Z różnych zwyczajów Czumackich najoryginalniejszym jest obchód pogrzebu Czumaka zmarłego w podróży. Gdy który z Czumaków dogorywa, tabor cały zatrzymuje się w drodze, konający przyzywa z pomiędzy towarzyszy najlepszego swego przyjaciela, spowiada się przed nim ze swoich grzechów i przesyła przez niego ostatnie pożegnanie tym których pozostawia po sobie. Następnie żegna wszystkich i swoje ukochane woły. Po śmierci cała gromada zbiera się, modli nad ciałem, ubiera je w białą koszulę i składa do mogiły wykopanej przy drodze. Każdy z towarzyszy rzuca garść ziemi na grób zmarłego, na kopcu którego zatykają następnie wiechę z kolorową chustką. Poczem karawana rusza dalej, zatrzymuje się w najbliższej wsi, w któréj znajduje się cerkiew i tam umawia się z ponomarem o podzwonne, ten zaś z Czumaków któremu zmarły powierzył swoje grzechy, udaje się do miejscowego kapłana i powtarza je przed nim, prosząc ażeby kapłan udał się na grób w celu odprawienia nad nim nodlitwy, co nazywają *przypieczętowaniem* mogiły.

Drzeworyt załączony do niniejszego artykułu przedstawia Czumaka w drodze. *W. S.*

ROZMAITOŚCI.

— **Zacharjasz Werner**. Fryderyk Ludwik Zacharyasz Werner urodził się w Królewcu 18 Listopada 1768 roku. Postradawszy rychło ojca, całkiem przez matkę wychowanym został — niewiastę cnotliwą, wyższego umysłu i religijną bardzo. Wcześnie już począł oddawać się poezji, w czem nieco egzaltowana matka szczególną była mu podnietą — zwłaszcza też w zapatrywaniu się religijnem. Te dążenia wszelako — nawet i pod okiem matki, wrodzonem niepowściągliwościom młodzieńca tamy nie zdołały położyć. W r. 1784-m wstąpił do uniwersytetu królewieckiego jako uczeń prawa i statystyki—a zarazem uczęszczał i na filozoficzne odczyty profesora Kanta, z których wielkie odniósł korzyści. W r. 1795 (za Prus południowych), mianowany został *Kriegs* i *Domaenenrath*'em w Piotrkowie. Następnie urzędował w Płocku, a wreszcie w Warszawie. Tutaj połączył się szczególniej z E. T. A. Hoffmann'em, nadto z innymi znamienitymi ludźmi. Przestawanie wszelako z nimi nie zdołało na jego moralne czyli niemoralne wpłynąć postępowanie.

Werner żenił się trzy razy — a każdy z tych związków

w lekkomyślny był zawarty i zerwany sposób. Pierwsza — czyli druga jego żona była Polką, z Płockiego. Ostatnią pojął w Berlinie dokąd w r. 1805 przewiezionym został.

W tym czasie odczytał Szyller w rękopisie jego *Söhne des Thales* i utwór ten niezmierne na nim sprawił wrażenie.

W Berlinie zostawał Werner w stosunkach bliższych z Fichte'm, A. W. Schlegel'em, Aleksandrem Humboldt'em, Iffland'em i t. p.— Dramy jego z wielkiem powodzeniem na scenie przedstawione zostały. Ale, niestety, poddawał się coraz więcej niemoralnym skłonnościom—i tracił na ogólnym szacunku i sympatyi.

Po śmierci matki znaczny odziedziczył majątek i podał się do dymisyi, opuścił Berlin—i podróżował po Niemczech, Szwajcarji i Francji. Bawiąc w tych miastach najdłużej, które rozpuście jego dogadzały więcej.

W r. 1811 udał się do Rzymu—został tamże katolikiem i oddał się całkiem studjom teologicznym. Zwiedził Włochy, 1813 r. powrócił do Niemiec—wstąpił w Auschefenburgu w Styczniu do Seminarjum duchownego —i przyjął w Czerwcu na kapłaństwo święcenie.

W czasie zebranego kongresu w Wiedniu, zjechał tamże —i miewał kazania, które mu wielką zjednały sławę. Następnie kazał po Węgrzech, Styryi, w Wenecyi. A w latach 1816 i 1817, przebywał w Kamieńcu Podolskim—gdzie kanonikiem honorowym mianowanym został. Ztamtąd udał się znowu do Wiednia, 1821 r. i wstąpił do zakonu Redemptorystów. Wystąpił z niego wszelako znowu niebawem, i oddał się wyłącznie kazalnicy. Zapał wymowy przywiódł go niekiedy do najwyższego wysilenia fizycznego, lecz umysł pozostał zawsze rzeźwym i krzepkim. Zapadł nagle na piersiową chorobę i 17 Stycznia 1823 r. życie zakończył swoje.

Jego pierwszy dramat, który na Szyllerze tak wielkie zrobił wrażenie, *Die Söhne des Thales*, wyszedł r. 1803 i 1804-m w dwóch częściach: *Die Templer auf Cypern* i *Die Kreuzesbrüder*, następnie wydał *Das Kreuz an der Ostsee* (Berlin 1806). Część pierwszą, *Die Brautnacht*, (Druga nie wyszła wcale) 1807. *Martin Luther oder die Weihe der Kraft*, napisał, gdy jeszcze całkiem był protestantem. Jako przeciwstawienie temuż wydał 1814 r. (Frankfurt) *Die Weihe der Unkraft*, poemat liryczno-alegoryczny. W roku 1808 wyszedł w Berlinie jego *Attila König der Hunnen*. A w r. 1816-m wydał tragedją *Wanda Königinn der Sarmaten* —która wedle Henryka Kurza: *Viel Treffliches* zawiera. Dramat *Die Königinn Kunegunde* podobał się w swoim czasie. (Lipsk 1815). W Wiedniu wydał *Die Mutter der Makkabäer* r. 1820.

Der 24 Februar, tragedja w jednym akcie, pełna fatalizmu i okropności, znajduje się dotąd w repertoarze niejednego teatru w Niemczech. Napisał ją jeszcze w r. 1810, lecz ukazała się dopiero w r. 1815. Przedstawienie tej sztuki bardzo przykre sprawia wrażenie—i lepiejby było, gdyby już ze wszystkich repertoarów wymazaną została.

Paulina Wilkońska.



Czumaki (do Strony 335-éj).

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Na ulicy pod pomnikiem w Lublinie*).

— Młody kawaler (przechodząc koło Panny, która idąc je owoce) A! smacznego apetytu życzę!

— Panna (bez namysłu dłuższego). Za życzenie, życzenie „*lepszego rozumu!*"—

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.